Solidarność

Jurek JANISZEWSKI

DOSSIER, BAR I TELEFON

Rozmowa z Jerzym Janiszewskim, artystą plastykiem, autorem znaku „Solidarność"

— Miło widzieć cię znów w Gdańsku. Pamiętam, jak osiem lat temu — było to w stanie wojennym — szykowałeś się do zbiorowej wystawy gdańskich artystów w Sindelfingen w RFN. Termin wydania paszportu ciągle odwlekano, a ty malowałeś obrazy, które nie miały nic wspólnego z ówczesną rzeczywistością.

— Tylko takie mogły wtedy zostać zaakceptowane na wyjazd. Prof. Jerzy Zabłocki, który jechał razem z nami, doradzał dyskretnie ale stanowczo: „Panie Jurku, żadnych znaków „Solidarności", niech pan to sobie wybije z głowy!". Pozabierałem wszystko i tak. Poupychałem między bardziej „neutralnymi" pracami. Na szczęście nikt tego na granicy nie sprawdzał. Na wystawę się spóźniłem, prace były już porozwieszane, więc mnie nie pozostało nic innego, jak poprzyczepiać te swoje solidarnościowe plakaty wprost na ściany. Wiadomo, jakie były wtedy nastroje. Oszczędni zazwyczaj w wyrażaniu swych emocji Niemcy, gratulowali, fotografowali się na tle znaku. Nawet wspomniany profesor dał się namówić na zdjęcie z „Solidarnością" w tle...

Tę wystawę zaaranżował zresztą mój kolega Jurek Chartowski, z którym studiowaliśmy razem na gdańskiej PWSSP i który wyjechał wcześniej do RFN. On i Henio Zdrojewski próbowali wówczas zaistnieć w tamtejszym życiu artystycznym. Dzisiaj obaj mają tam dobrą markę — jeden jest wziętym grafikiem, drugi scenografem. Przyjaźnimy się zresztą nadal, odwiedzamy.

— Wróćmy jednak do tamtych lat. Musiałeś odpowiedzieć sobie na pytanie, które stawało przed każdym Polakiem będącym wówczas za granicą...

— Nie wiedziałem co robić. Tuż przed wyjazdem otrzymałem powołanie do wojska i tylko zły stan zdrowia matki pozwolił na chwilowe odroczenie. Był to przecież stan wojenny, wszystkiego się można było spodziewać. Przez kilka miesięcy nie mogłem właściwie podjąć żadnej decyzji. Dopomógł przypadek. Zadzwoniłem do znajomego do Kopenhagi, filmowca Bogdana Borkowskiego. Gdzie ty się podziewasz? — on do mnie. — Szukają cię w Paryżu!". Okazało się, że w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego w Polsce organizowana jest duża wystawa dzieł sztuki połączona z aukcją, z której dochód przeznaczony został na rzecz „Solidarności". Otrzymałem zaproszenie i pojechałem.

Ten pierwszy wieczór, zaraz po przyjeździe, zadecydował właściwie o tym, że postanowiłem zostać w Paryżu. To był inny świat — barwny, pełen życia, rytmu. To naprawdę niezwykłe miasto. Po tych ponurych przeżyciach stanu wojennego, po uporządkowanej niemieckiej rzeczywistości tutaj można było w końcu oddychać.

— Pojawiłeś się tam w bardzo dobrym dla siebie momencie. Fala zainteresowania sprawami polskimi jeszcze wówczas nie osłabła. A twój znak znał cały cywilizowany świat.

— Zainteresowanie było rzeczywiście ogromne. Powstało wiele programów radiowych i telewizyjnych na temat grafiki związanej z „Solidarnością", na temat samego znaku. Część z nich była emitowana o znakomitych porach, tuż przed wieczornymi wiadomościami, w najlepszych programach.

— Czyli pasmo sukcesów.

— To tak może wygląda dzisiaj. Ale przecież na początku byłem tam bez środków do życia, bez znajomości języka. Na szczęście po tej rocznicowej wystawie znalazłem się w gronie dziesięciu polskich artystów, którzy otrzymali jednorazowe stypendium w wysokości dziesięciu tysięcy franków. To pozwoliło mi na płacenie za telefony i na wynajęcie szafy.

— Szafy?

— „Szafa", to maleńki pokoik, cztery metry kwadratowe, z łóżkiem, stolikiem i maleńkim zlewem z zimną wodą. Z tym mieszkaniem związana jest śmieszna historia. Pewien znany reżyser telewizyjny chciał się ze mną umówić na zrobienie audycji. Zapytał gdzie mieszkam, podałem adres. Paryżanie są bardzo czuli na punkcie dzielnicy, w jakiej się mieszka. Mój adres był znakomity: Montparnasse. Postanowił więc zrobić kameralny program w zaciszu domowym... Gdy spocona ekipa wdrapała się na ósme piętro okazało się, że nie ma nawet gdzie ustawić statywów. Kręcili w końcu z dachu, przez okno downętrza. Reżyser nie mógł się nadziwić. Mieszkał dwa domy dalej, z tym, że na stu metrach.

Te wszystkie audycje, programy, zaowocowały w postaci zamówień. Jako jedno z pierwszych zgłosiło się poważne wydawnictwo „Barrault". Wydają niewiele, ale pozycje wartościowe, czasem wręcz elitarne. Opracowałem dla nich znak firmowy oraz serię wydawniczą — szatę graficzną wraz z ilustracjami. Przy kolejnych zamówieniach zorientowałem się jednak, że działam jak amator. Bez stałej pracowni, bez telefonu, bez dossier. Dzisiaj ująłbym to tak — jeśli chcesz funkcjonować w Paryżu jako artysta, potrzebu ci do tego trzech rzeczy: dossier, baru i telefonu.

— Bar jest niezbędny?

— Jest potrzebny. W barze spotykasz się z wydawcami, z kontrahentami, z ludźmi z branży. Masz swoje ulubione bary, doktórych chodzisz, gdzie mogą znaleźć cię znajomi. Tam załatwia się interesy, nawiązuje znajomości. Nie jest to oczywiście jedyne miejsce kontaktów, ale ważne. W Polsce nie ma takich barów, są za to — o czym mogłem sobie właśnie przypomnieć — koszmarne knajpy z horrendalnymi cenami. Jutro sytuacja ta może się zresztą zmienić. Zalew technik komupterowych, telefaxów, doprowadzić może do tego, że artysta nie będzie musiał wychodzić z domu. Wystarczy, że włączy monitor.

— Przez jakiś czas pisało się do ciebie na Passage Molière...

— To adres Asocjacji Kulturalnej „La Carpa", którą stworzył Paco Ibanez — postać niezwykle barwna, doskonale w Paryżu znana. Hiszpański bard od lat żyjący we Francji. Wymyślił sobie, że stroną graficzną jego przedsięwzięcia ma zająć się facet, który stworzył znak „Solidarności". Przez polskich znajomych zaczął mnie szukać w kraju, potem w Niemczech. No i znalazł wreszcie — parę ulic dalej. Dzisiaj jesteśmy przyjaciółmi. To jest fantastyczna rodzina, zwariowana. Są Baskami. Razem ze swoimi licznymi kotami i psami, z siostrą Paco — Manolitą, tworzą nadzwyczaj osobliwą i barwną całość. Bardzo się lubimy, moją rodzinę traktują jak własną. Dzięki nim szybciej zacząłem mówić po hiszpańsku niż po francusku, chociaż obu języków zacząłem się uczyć jednocześnie.

Pracownia Paco przy Passage Molière jest znakomicie usytuowana. W samym sercu Paryża, niedaleko centrum Pompidou. Zawsze jest otwarta dla przyjaciół, zawsze jest czerwone wino i kuskus w stulitrowym garnku Manolity. Spotkać tu można wybitnych artystów, ludzi znanych, interesujących: Rafaela Soto, George'a Moustaki, Paco Rabanne, Caroline Carlson, Paco de Lucia i wielu innych.

Dla „La Carpy" robiłem właściwie wszystko. Plakaty reklamowe przedsięwzięć, które organizują: koncertów, przedstawień teatralnych, imprez kulturalnych. Katalogi wystaw, afisze, plakietki, znaczki. Słowem — cały serwis graficzny.

— A ponadto — o ile wiem — zrobiłeś jeszcze kilka plakatów filmowych, no i oprawę kolejnych uroczystości rocznicowych dla „Solidarności".

— Jeśli idzie o środowisko polskie, to głównie mam kontakt z wydawnictwem „Spotkania" Piotra Jeglińskiego. Robiłem mu znak wydawnictwa i okładkę do książki. A akcje rocznicowe były rzeczywiście znaczące. Wyobraź sobie dwadzieścia tysięcy przylepek formatu A-4 porozklejanych wszędzie — na murach, samochodach, parkanach, w metrze. To robiło wrażenie.

A plakaty filmowe? Najbardziej znany, to chyba do „Irlandczyka" Mike'a Hodgesa z Mickey Rourke w roli tytułowej i do „Dzienników wariata" według Gogola w reżyserii Rogera Coggio. Dla mnie ważny był jeszcze plakat, który zrobiłem po tragedii w Kolumbii. Chodziło oczywiście o pomoc dla ofiar wybuchu wulkanu.

— Zanim przejdziemy do twoich spraw tu i teraz, powiedz może słów kilka o współpracy z „Force Ouvrière".

— Force Ouvrière, to jedna z największych organizacji związkowych we Francji. Przed rokiem zaprosili mnie do współpracy, która układa się całkiem nieźle. Najważniejsze ich zamówienie dotyczy modernizacji znaku centrali. Znak, którym posługują się do tej pory, pochodzi jeszcze z ubiegłego wieku. Trzeba będzie coś wymyślić.

— Tymczasem twoje „dziecko pierworodne", znak „Solidarności", wymyka się jakby spod twojej kontroli.

— To jest bardzo delikatne określenie sytuacji, jaką zastałem tu, w kraju. Dotyczy to zarówno mojego znaku, jak i znaku Krystyny (chodzi o znak rocznicowy „Grudzień 70", autorstwa Krystyny Janiszewskiej, żony Jerzego — przyp. A.P.). Nawet w siedzibie centrali NSZZ „Solidarność" nie znaleźliśmy ani jednej reprodukcji znaku, która byłaby zgodna z oryginałem. Koszmarny jest papier firmowy związku, legitymacje. Wszędzie jest ten niby mój znak. No, a do tego cała ta sfera pamiątkarsko-okolicznościowa, na której przedsiębiorczy wytwórcy robią pewnie nieźle interesy.

Myślę, że także i w tej dziedzinie nadszedł czas normalizacji. Sprawa zasadnicza: znak może być tylko i wyłącznie reprodukowany. Koniec z wszelkiego rodzaju stylizacjami i wariacjami na temat znaku. Zostawiłem wzorzec jako obowiązujący. Ponadto we wszystkich pracach, gdzie znak jest formą dominującą, musi być uwidocznione nazwisko autora znaku.

— Będziesz więc w końcu miał ze znaku jakieś pieniądze?

— Niezupełnie. [redacted]

— Rozumiem, iż podpisałeś tę umowę. Ale nie bardzo sobie wyobrażam sposób, w jaki będzie egzekwowana.

— Umowy nie podpisałem, ponieważ przez kilka dni nikt jej w gdańskim biurze „Solidarności" nie zdążył napisać na maszynie, a czas mojego pobytu w kraju dobiega końca. [redacted]

Co się tyczy egzekwowania tej umowy, leży to w interesie NSZZ „Solidarność" i mam nadzieję, że znajdą się ludzie, którzy tych interesów będą pilnować.

— Kiedy odwiedzisz nas znów?

— Myślę, że niedługo. Otrzymałem bardzo ciekawe propozycje związane z obchodami 10-lecia działalności związku. Chodziło by o oprawę graficzną tych uroczystości oraz o projekt scenografii do koncertu, w jakim mieliby wziąć udział artyści z całego świata, którzy w różny sposób walczyli, bądź walczą, o wolność i godne życie dla człowieka. Koncert miałby odbywać się na wolnym powietrzu. Mógłbym może wykorzystać pewne swoje doświadczenia w tworzeniu barwnych kompozycji przestrzennych. Są to ruchome formy, żyjące jakby wiatrem, światłem, dźwiękiem. Takie przestrzenne struktury, rozciągające się na kilkaset metrów kwadratowych, wykonane z barwnych wstążek, balonów i innych lekkich materiałów. Bardzo się to podobało na Festiwalu Jesiennym w Madrycie parę lat temu, także we Francji.

— Zatem do zobaczenia za parę miesięcy.

— Cześć!

Rozmawiała:
Aleksandra Paprocka

Znak „S" jest eksploatowany wbraw autorowi bez najmniejszych skrupułów. Nie o taki „duch" nam chodzi...